Raymond F. Jones

Kamień i włócznia

(A Stone and a Spear)

Galaxy Science Fiction, December 1950
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Od Frederick do Baltimore, pagórkowate wiejskie tereny stanu Maryland pokryte były dywanem świeżej zieleni. Doktor Curtis Johnson, nie zwracając zupełnie uwagi na uroki lata, jechał szybko pofałdowaną wzniesieniami wstęgą autostrady, wzbijając chmury kurzu i wysuszonych traw.

Obok siedziała jego żona, Louise, trzymając rozwiane włosy odsunięte od twarzy i śmiejąc się radośnie w ciepłym powietrzu.

— Doktor Dell ci nie ucieknie. Poza tym obiecywałeś, że będziemy mogli ten wyjazd potraktować równie dobrze jako weekendowy wypad, co podróż w interesach.

Curt rzucił okiem na prędkościomierz i zmniejszył nacisk nogi na pedał gazu. Uśmiechnął się szeroko.

— I znowu zaczynasz śnić na jawie.

— Słucham?

— Zastanawiałem się, kto pierwszy to powiedział – któryś z kolegów z Detrick, albo ten porucznik z Bikini, albo…

— Co powiedział? O czym ty mówisz?

— Tę głupotę o broni po następnej wojnie. Ten człowiek – ktokolwiek by to nie był – powiedział, że tak do końca nie wiadomo jak będzie wyglądała broń wykorzystywana w następnej wojnie, ale jest absolutnie pewne, co do broni stosowanej w IV Wojnie Światowej. Będą to kamienie i włócznie. Myślę, że każdy z nas mógłby coś takiego powiedzieć.

Uśmiech Louise zaczął robić się coraz bardziej napięty i wymuszony.

— Czy wy wszyscy nie potraficie myśleć o niczym innym, jak tylko o następnej wojnie?

— Jakbyśmy mogli? Przecież właśnie teraz ją toczymy.

— W twoich ustach brzmi to tak beznadziejnie.

— Tak właśnie mówił Dell, w dniach poprzedzających swoje odejście. Nawoływał, że nie musimy pracować dla Detrick, produkując toksyny i aerozole, które zniszczą miliony istnień ludzkich. Ale nigdy nie wyjaśnił nam, jak moglibyśmy odejść – i mieć pewność że przeżyjemy. Jego własne odejście, to był tylko nic nie znaczący, pusty gest.

— Po prostu nie potrafię go zrozumieć, Curt. Myślę, że w pewnym sensie ma rację, ale co doprowadziło go do takich poglądów?

— Trudno powiedzieć — odparł Curt, mimowolnie przyspieszając. — Po wojnie, kiedy fizycy atomowi publicznie pokazywali że mają sumienia, Dell kazał im najpierw pokazać że mają jaja. Taki sposób myślenia był wtedy dla niego bardzo typowy, jednak wkrótce potem zmienił się w równie zdecydowanego pacyfistę co tamci, i odszedł z Detrick.

— Nadal wydaje mi się dziwne, że odrzucił w taki sposób całą swoją karierę. Największy na świecie biochemik rezygnuje z pracy w laboratorium na rzecz prowadzenia plantacji warzyw! — Louise opuściła wzrok na stojący pomiędzy nimi koszyk z jedzeniem. W środku były pomidory, przysłane przez doktora Hamona Della, razem z zaproszeniem aby go odwiedzić.

Przez niemal rok dr Dell wysyłał paczki z dorodnymi owocami i warzywami swoim byłym współpracownikom, nie tylko w centrum wojny biologicznej w Camp Detrick, ale także na uniwersytetach i innych ośrodkach badawczych w całym kraju.

— Szkoda, że dokładnie nie wiemy, dlaczego poprosił nas o przyjazd — zauważyła Louise.

— Nikt nie może powiedzieć, że rozgryzł go do końca. Wszyscy trochę się teraz z niego podśmiewają. Chętnie jedzą prezenty od niego, ale uważają go za odrobinę niespełna rozumu. Trzeba jednak przyznać, że nie stracił niczego ze swego talentu do biologii. Nigdy nie widziałem, ani nie próbowałem warzyw takich jak te od niego.

— A grube ryby w Detrick wcale też nie uważają, żeby rozmiękczył mu się umysł — dodała zdecydowanie zbyt niewinnym tonem. — A więc polecili ci, abyś wykorzystał okazję jaką stwarza jego zaproszenie i spróbował przekonać go do powrotu.

Curt odwrócił głowę w jej stronę tak ostro, że Louise roześmiała się.

— Nie, nie czytałem żadnych papierów tajne przez poufne — powiedziała. — Ale to dosyć oczywiste, nieprawdaż, patrząc na sposób, w jaki rzuciłeś się na generała Hansena po otrzymaniu zaproszenia od niego?

— To jest tajne przez poufne — powiedział Curt, ponownie patrząc na drogę. — Armia nie chce, żeby to wyciekło, ale potrzebują Della, potrzebują go straszliwie. Każdy, kto wie jak rozwinęły się kwestie wojny biologicznej, zrozumie to. Chcieli mnie wysłać już wcześniej. Zaproszenie Della było pretekstem, którego potrzebowaliśmy. Mogę mieć na niego wystarczający wpływ, aby go odzyskać. Przynajmniej taką mam nadzieję. Zatrzymaj to jednak dla siebie i daj spokój z dalszymi zgadywankami. W tej sprawie tkwi znacznie więcej, niż ci jest wiadome.

Samochód przejechał przez chłodny, zalesiony odcinek drogi i Louise odwróciła się do tyłu i syciła jego pięknem.

— Tajne przez poufne — stwierdziła. — Dorośli ludzie bawią się w dziecinne zabawy.

— Zabawy dosyć niebezpieczne jak dla dzieci, kochanie.

Późnym popołudniem minęli centrum Baltimore i skierowali się na północ, za przedmieście Towson, w kierunku gospodarstwa z warzywami Della.

Jego szyld widoczny był już z odległości połowy mili:

JESTEŚ TYM CO JESZ
Jedz tylko to, co najlepsze
JEDZ WARZYWA DELLA

— Doktor Hamon Dell, czołowy biochemik świata – i uprawia warzywa — mruknął Curt, skręcając samochodem z autostrady.

Louise wysiadła, zaraz kiedy opony przestały chrzęścić na żwirowej drodze. Przeszukała wzrokiem pola i stare lasy za antycznym, ale dobrze zachowanym farmerskim domem.

— Okolica wygląda tutaj, zupełnie nie z tej ziemi.

Curt wyszedł za nią. Śpiew ptaków, tak zauważalny wcześniej, obecnie wydawał się być dziwnie wyciszony. Sama ziemia miała obcy, lekko zielonkawy odcień, barwy odpychającej nie tylko dla oczu.

— To musi być coś w tej miejscowej glebie — stwierdził Curt, — coś, co nadaje jej ten kolor i pozwala uzyskiwać takie wspaniałe plony. Muszę pamiętać, żeby spytać o to Della

— Chcą państwo widzieć się z doktorem Dellem?

Okręcili się wokół siebie na dźwięk nieznajomego głosu. Louise wyrwał się cichy okrzyk zaskoczenia.

Stojąca za nimi chuda postać kaszlała astmatycznie i wskazywała na nich ręką, która wydawała się być zbudowana wyłącznie z kości i brązowawej skóry, tak cienkiej, że prawie przezroczystej.

— Tak — odparł Curt lekko drżącym głosem. — Jesteśmy jego przyjaciółmi.

— Dell jest na tyłach domu. Powiem mu, że państwo są tutaj.

Postać odeszła, powłócząc nogami, i Louise wzdrygnęła się, jakby chcąc pozbyć się z myśli jej obrazu.

— Jeśli nasze wnuki kiedykolwiek będą nas pytały o zombie, mogę im powiedzieć, że je widziałam. Któż, na miłość Boską, to może być?

— Przypuszczam, że jakiś wynajęty człowiek. Brzmiał tak, jakby powinien znaleźć się w sanatorium płucnym. Zabawne, że Dell trzyma kogoś w takim stanie.

Gdzieś spoza domu doleciał warkot silnika ciężarówki. Curt wziął Louise pod ramię i poprowadził ją dookoła budynku równą, żwirowaną ścieżką.

Stary farmerski dom, był bardzo starannie odnowiony. Wszędzie widoczne były dowody dużej dbałości o niego, ale jednak całkowita atmosfera tego miejsca pozostawała niezbyt zachęcająca, niemalże uciążliwa. Curt mówił sobie, że powodem tego jest kompletna cisza, którą jeszcze bardziej podkreślał samotny warkot silnika na tyłach i niewiarygodnie surowy kolor ziemi pod stopami.

Po okrążeniu domu, zobaczyli przed sobą ogromną cysternę. Wychodzący z niej wąż, który prowadził do podziemnego zbiornika magazynowego, pulsował powoli pod działaniem przepływającej przez niego cieczy. W zasięgu wzroku nie było widać nikogo.

— Do czego to może być? — spytała Louise.

— Masz mnie. Może to benzyna, ale przecież Dell nie ma powodu, żeby przechowywać tutaj tak duże ilości paliwa.

Powoli posuwali się naprzód, i w umyśle Curta narastało zdumienie, w miarę jak uświadamiał sobie ogrom maszyny. Zbiornik miał eliptyczny przekrój, o średnicy poprzecznej ponad dziesięciu stóp. Od tyłu podtrzymywało go sześć podwójnych kół; nawet przednie były podwójne.

Pomimo tak znacznego rozkładu ciężaru samochodu, jego opony zapadały się w suchą, twardą ziemię na głębokość jednego cala lub więcej.

— Muszą tym dowozić chyba płynny ołów — stwierdził Curt.

— Zaczyna robić się zimno. Chciałabym, żeby w końcu pojawił się Dell.

Louise przebiegła wzrokiem po dwudziestoakrowej powierzchni plantacji warzyw. Cały jej obszar pokrywały szerokie grzędy dorodnych roślin. Pomidory, marchew, buraki, sałata i inne warzywa – na drugim końcu znajdowało się około stu drzew owocowych. Między nimi biegła droga, którą potężna ciężarówka najwyraźniej wjechała na farmę, od tyłu.

Nagle usłyszeli ciężkie kroki, i zza ciężarówki pojawiła się kudłata głowa Della. Jego twarz rozświetliła się z zadowolenia.

— Curt, mój chłopcze! I Louise! Myślałem, że już w ogóle się nie pojawicie.

Dłoń Curta lekko zwiotczała w ogromnym łapsku Della, ale nie dlatego, że jego powitanie z gospodarzem było mało entuzjastyczne. Spowodowane to było jego pełną szoku reakcją na wynędzniały wygląd biologa. Oczy Della, zwykle tak pełne ognia, teraz wyglądały na stare i zmęczone. Nie zdradzająca wieku skóra twarzy, zdawała się jakby zapadać pod jakimś przytłaczającym ciężarem, a jej brązową gładką powierzchnię poznaczyły głębokie linie, wyglądające jak ślady jakichś bolesnych cierpień.

Curt odparł cichym głosem.

— Trudno jest wyrwać się z Detrick. Zawsze jest jakiś kolejny eksperyment którym trzeba się zająć…

— … A wojskowe szychy jeżdżą ci po głowie, tak jakby spodziewali się, że wygrasz dla nich wojnę do jutrzejszego popołudnia — dorzucił Dell. — Pamiętam.

— Zastanawialiśmy się nad tą ciężarówką — skomentowała Louise, bystrze próbując zmienić temat. — W końcu się poddaliśmy.

— Och, to. Służy do przewozu płynnego nawozu, który pompuję do mojego systemu nawadniania, to wszystko. Nie ma w tym nic tajemniczego. Chodźmy do domu. Jak już się trochę rozgościcie, będziemy mogli o wszystkim porozmawiać, a ja opowiem wam o rzeczach, które tutaj robię.

— Kim jest ten człowiek, którego widzieliśmy? — zapytał Curt. — Wygląda jakby miał poważne kłopoty ze zdrowiem.

— To Brown. Dostałem go w spadku, razem z tym miejscem – przez lata uprawiał tę ziemię dla mojego wuja, zanim ją odziedziczyłem. Jest w stanie wyhodować ogród na granitowej skale. Wbrew pozorom, pod względem fizycznym czuje się dosyć dobrze.

— A jak tam twoje zdrowie? Zmieniłeś się, odkąd byłeś w Detrick.

Dell podniósł w palcach kosmyk stalowoszarych włosów i zbagatelizował pytanie z bladym uśmiechem.

— Wszyscy się kiedyś zużywamy — powiedział. — W końcu musiała nadejść moja kolej.

W środku w miarę jak mijał wieczór, część przygnębiającego nastroju zniknęła. Było wystarczająco chłodno, by rozpalić ogień w kominku, i po obiedzie usiedli przed nim. Podczas gdy obserwowali migoczące światełka, które tańczyły po belkowanym suficie, Dell zabawiał ich opowieściami o swoich sąsiadach, których historię znał aż do czasów Rewolucji.

Louise jednak wymówiła się wcześnie. Wiedziała, że będą chcieli porozmawiać na osobności, aby wyjaśnić powody stojące za zaproszeniem Della – i zgodą na nie Curta.

Kiedy wyszła, zapadła cisza. Płonące w kominku kłody drewna trzaskały jak wystrzały z pistoletu. Naukowiec pochylił się, by przemieszać żar, a potem odwrócił się gwałtownie do Curta.

— Kiedy zamierzasz odejść z Detrick?

— A ty kiedy wracasz? — dopytywał się Curt, zamiast odpowiedzieć na pytanie.

— A więc nadal mnie chcą, nawet po tym, co powiedziałem, kiedy odchodziłem?

— Jesteś bardzo potrzebny. Kiedy powiedziałem Hansenowi, że do ciebie jadę, oświadczył mi, że sprowadzenie cię z powrotem jest warte pięciu lat mojej własnej pracy.

— Chcą, żebym produkował jeszcze bardziej śmiercionośne toksyny niż te, które już im dałem — stwierdził złośliwie Dell. — Chcieliby takie, które mogłyby zabić dziesięć milionów ludzi w ciągu czterech minut, a nie tylko milion…

— Człowiek by zwariował, gdyby patrzył na to w taki sposób. To tak samo jak w przypadku twórców broni dręczonych wizją poszarpanych ciał ludzi zabitych przez ich kule, ich cierpiących rodzin…

— A czemu twórcy broni nie mieliby cierpieć mąk? — zduszony głos Della przepełniony był z trudem kontrolowaną nienawiścią. — To ludzie tacy jak ty i ja, którzy dają twórcom wojen nowe narzędzia do ich działalności.

— Och, Dell, to nie takie proste. — Curt uniósł dłoń i pozwolił jej opaść. Tyle razy już przez to przeszli. — Projektanci broni nie są za to bardziej odpowiedzialni, niż jacykolwiek inni członkowie społeczeństwa. Przyjmowanie na siebie całej winy za wojny, których jeszcze nie stoczono, tylko dlatego, że przydarzyło się komuś stworzyć jakąś potencjalną broń, to ewidentny przykład neurozy.

Dell dotknął swej masywnej czaszki.

— Tutaj, w moim mózgu, poczęło się coś, co prawdopodobnie zniszczy miliardy ludzkich istnień w nadchodzących latach. Toksyna D. triconus, odpowiednio rozpylona w powietrzu, wymaga tylko bardzo niewielkiej liczby cząsteczek w płucach człowieka, aby go zabić. To mój mózg i tylko on, odpowiedzialny jest za to szaleńcze, mordercze odkrycie.

— To czysty egotyzm! Każda praca naukowa opiera się na całej piramidzie wiedzy z przeszłości.

— **B**roń, którą przed chwilą opisałem, istnieje. Gdybym jej nie stworzył, nie istniałaby. To jasne jak słońce. Nikt nie dzieli ze mną mojej winy i mojej odpowiedzialności. A czego jeszcze ode mnie chcą? Jaką jeszcze większą masową rzeź i zniszczenie, sobie wymarzyli?

— Potrzebują cię — powiedział cicho Curt — ponieważ uważają, że nie jesteśmy jedynymi, którzy posiadają tę truciznę. Potrzebują cię, byś wrócił i pomógł znaleźć antytoksynę dla D. triconus.

Dell pokręcił przecząco głową.

— To próżna nadzieja. Działanie D. triconus przypomina przyłożenie zapalonej zapałki do beczki z prochem. W chwili, gdy jej cząsteczki wchodzą w kontakt z cytoplazmą, rozpoczynają reakcję łańcuchową, która rozrywa strukturę komórek. Ten efekt rozprzestrzenia się jak ogień, z jednej komórki do drugiej, i kiedy już zacznie działać w jakimś organizmie nic nie jest w stanie go powstrzymać.

— Ale czy dręczące cię poczucie winy – choć nieuzasadnione – nie sprawia, że chciałbyś znaleźć tę antytoksynę?

— Przypuśćmy, że mi się uda? Zniwelowałoby to działanie broni naszego nieprzyjaciela. Wojsko wiedziałoby, że on również zawsze zdąży na czas zniwelować także działanie naszej broni. Wtedy polecą mi opracować jeszcze jedną toksynę. To jest błędne i szalone koło, które powinno zostać przerwane. Celem całej reszty mojego życia jest właśnie jego przerwanie.

— Kiedy walczysz o życie, a wróg już zaciska ręce na twoim gardle — przekonywał go Curt — sięgasz po największy kamień, jaki możesz dosięgnąć ręką i walisz go nim w głowę. Nie próbujesz go przekonywać, że zabijanie jest nieetyczne.

Przez chwilę wydawało się Curtowi, że błysk humoru zajaśniał w kącikach ust Della. Potem jednak linia jego warg znowu się ściągnęła.

— Dokładnie — odparł. — Sięgasz po kamień i walisz go nim w głowę. Nie niszczysz całego życia ludzkiego na Ziemi, aby go dopaść. Poprosiłem cię, o przyjazd tutaj, abyś pomógł mi przerwać ten krąg, o którym mówiłem. Musi ktoś tutaj być – po tym, jak odejdę ...

Spojrzenie Della przesunęło się w głębiny cieni za blaskiem ognia i pozostało utkwione w jakichś niewidocznych obrazach.

— Ja? Pomóc tobie? — zapytał Curt z niedowierzaniem. — A co niby miałbym zrobić? Porzucić naukę i też zostać plantatorem warzyw?

— Można by powiedzieć, że byłaby to działalność w branży kamiennej — stwierdził Dell. — Walka nie odbywa się już na poziomie jednego człowieka, z rękami zaciśniętymi na gardle drugiego człowieka, ale tak to powinno być. Ci, którzy są głodni władzy i dominacji, powinni walczyć o nie osobiście. Ale minęło wiele czasu, odkąd musieli to robić.

— **N**awet w dawnych czasach, królowie i cesarze wynajmowali najemników, aby walczyli w ich wojnach. Obecni militaryści nie kupują mieczy. Kupują mózgi. Jesteśmy najemnikami współczesnych czasów, Curt, ty i ja. Kiedyś, w naszym zawodzie ważny był pewien honor.

Szukaliśmy prawdy dla siebie samych, i dlatego, że taki był nasz sposób życia. Kiedyś byliśmy nadzieją świata, ponieważ nauka stanowiła język uniwersalny.

— Jakimże straszliwym okazało się to być żartem! Dziś stanowimy dla świata groźbę. Twórcy wojen zbudowali nam wspaniałe laboratoria, lśniące pałace, i spełniali wszelkie nasze zachcianki – ale nie za darmo. Zabrali nas na wyżyny i pokazali nam cały świat, a my sprzedaliśmy im za to nasze dusze.

— Spójrz tylko, co się stało po ostatniej wojnie. Armie inwazyjne zabrały ze sobą nazistowskie mózgi, jak łupy wojenne, umieścili tych naukowców w wielkich nowych laboratoriach, a ci współcześni najemnicy nie przestawali zalewać wiedzą innych królów i cesarzy.

— Są lojalni jedynie swej nauce. Ale nie mogą już eksperymentować dla wiedzy, a tylko dla zdobycia broni i kontr-broni. Powiesz, że moja gadanina jest antywojenna, a może nawet antyamerykańska lub prorosyjska. Ale ja nie jestem przeciwko samym wojnom, ale jestem przeciwko niesprawiedliwej rzezi. I za bardzo kocham Amerykę, aby pozwolić jej się zniszczyć razem ze swoim wrogiem.

— A więc co mamy robić? — dopytywał się zażarcie Curt. — Co mamy robić, gdy naukowcy wroga przygotowują tę samą broń, aby eksterminować nas? Jasne, że to jeden cholerny burdel. Nauka już od dawna nie żyje. Gatunek, o którym mówisz, wymarł dwadzieścia lat temu. Wszystkie nasze piękne ideały są bezwartościowe, dopóki politycy nie znajdą sposobu dla rozwiązania swoich waśni.

— Politycy? Od kiedy ludzie nauki muszą czekać na polityków, aby rozwiązywać ludzkie problemy? — Dell przesunął dłonią po czole i nagle jego twarz wykrzywiła się w bólu.

— Co ci jest? — zawołał Curt, zrywając się na nogi.

— Nic… nic, mój drogi. Pewne drobne kłopoty, które ostatnio miałem. To za chwilę minie.

Z wysiłkiem mówił dalej:

— Chciałem powiedzieć, że już doszliście do przekonania, że nauka jest podzielona na obozy zbrojne przez sztuczne granice stworzone przez polityków. Czy minęło już tak wiele czasu od tej chwili, że nie było to nawet za waszego życia, gdy naukowcy uważali się za jedno międzynarodowe bractwo?

— Nie jestem w stanie spierać się z twoimi ideałami — powiedział cicho Curt. — Faktem jednak jest, że granice państwowe naprawdę dzielą naukowców świata na różne obozy zbrojne.

— **P**rzesłanki, z których wychodzisz, są nadal niepoprawne. Naukowcy nie prowadzą celowej wojny między sobą. Walczą tylko dlatego, że na ślepo sprzedali się jako najemnicy. I można ich wezwać do odkupienia swoich win. Mogą zerwać te niegodziwe umowy.

— Musiałaby to być równoczesne porozumienie między naukowcami ze wszystkich państw. A oni są także ludźmi i podlegają wpływom ideałów

narodowych. Nie są jakimiś oderwanymi od świata miłośnikami wież z kości słoniowej i poszukiwaczami prawdy.

— Pamiętasz mnie, pięć lat temu? — Na twarzy Della pojawiła się jeszcze większa udręka, jakby to wspomnienie go zawstydzało. — Pamiętasz, jak kazałem fizykom atomowym okazywać swoje jaja, a nie sumienia?

— Tak. Ty, z pewnością się zmieniłeś.

— Tak samo mogą również i inni ludzie. Rozpaczliwie potrzebuję twojej pomocy, Curt…

Twarz starzejącego się biochemika znów wykrzywił nieznośny ból. Jego czoło zalśniło kropelkami potu, i ścisnął głowę poznaczonymi węzłami żył dłońmi.

— Dell! Co ci jest?

— To minie — doktor Dell wypuścił powietrze przez zaciśnięte zęby. — Mam trochę lekarstw – w swojej sypialni. Obawiam się, że będę musiał cię dzisiaj przeprosić. Jest znacznie więcej rzeczy, o których chciałbym ci powiedzieć, ale wrócimy do dalszego ciągu naszej rozmowy rano, Curt. Przepraszam…

Wyszedł, potykając się niemal, lecz ponurym przeczeniem głową odrzucając propozycję pomocy Curta. Ogień trzaskał głośno w cichym pokoju. Curt poczuł chłód opadającego mroku nocy, jego myśli oszołomione były upartym stanowiskiem Della, po części tak rozsądnym, a po części tak zupełnie zbijającym z tropu. Nie było też żadnych wskazówek co do źródła pochodzenia tej potężnej siły, która dokonała tak wielkiej zmiany w niegdyś pro wojskowo nastawionym naukowcu.

Powoli Curt wspiął się po schodach starego domu i poszedł do pokoju wyznaczonego im przez Della. Louise leżała w łóżku, czytając kryminał.

— Tajna misja zakończona? — zapytała.

Curt usiadł na skraju łóżka.

— Obawiam się, że z Dellem dzieje się coś naprawdę niedobrego. Oprócz zwykłego zespołu neurotycznego poczucia winy, z powodu swej pracy nad środkami prowadzenia wojny, okazywał oznaki bardzo silnego i ewidentnie często nawracającego bólu głowy. Jeżeli to jest guz mózgu, to mogłoby wyjaśniać jego chaotyczne zachowanie, odrzucenie całej swojej kariery.

— Och, mam nadzieję, że to nie to!

Curtowi zdawało się, że spał zaledwie kilka minut, kiedy obudziły go jakieś nocne hałasy. Przewrócił się na drugi bok i zapalił światło. Zegarek pokazywał godzinę drugą. Louise poderwała się gwałtownie.

— Co się stało? — wyszeptała.

— Wydawało mi się, że coś słyszałem. O, teraz znowu!

— To brzmiało tak, jakby ktoś cierpiał z bólu. To musi być Dell!

Curt wyskoczył z łóżka i szybko wcisnął się w szlafrok. Śpiesząc w stronę pokoju Della, usłyszał kolejny głęboki jęk, który zakończył się drżącym szlochem nieznośnej męki.

— Dell!

— Curt… myślałem, że zostało mi jeszcze trochę czasu, ale już więcej nie jestem w stanie tego znieść… Pamiętaj tylko o tym, co ci mówiłem dzisiaj wieczorem. Nie zapomnij ani słowa z tego. — Usiadł sztywno wyprostowany, z trudem oddychając, z wysiłkiem próbując utrzymać kontrolę. — Odpowiedzialność za nadciągające zniszczenie cywilizacji spoczywa w rękach najemnych naukowców. Nie pozwól na to, Curt. Niech porzucą wojenne laboratoria. Niech odzyskają swój honor ...

Opadł z powrotem na poduszkę, jego twarz była biała z bólu i lśniła od potu.

— Brown… zobacz się z Brownem. On może powiedzieć ci… resztę.

— Pójdę sprowadzić lekarza — powiedział Curt. — U kogo się leczyłeś? Louise zostanie z tobą.

— Nie wzywaj lekarza. Nie da się tego uniknąć. Wiem to już od miesięcy. Poczekaj tu ze mną, Curt. Wkrótce odejdę.

Curt patrzył ze współczuciem na wielkiego naukowca, którego umysł uległ takiej dezintegracji.

— Potrzebujesz lekarza. Zadzwonię do szpitala, Johna Hopkinsa, jeśli chcesz.

— Zaczekaj, może masz rację. Nie mam tu telefonu. Wezwij doktora Wilsona – budynek Sądu, Towson – znajdź jego adres domowy w książce telefonicznej.

— Dobrze. Za parę chwil będę z powrotem.

Podszedł do drzwi.

— Curt! Pojedź ulicą wzdłuż nowej drogi – za farmą. Tamtędy szybciej… krócej o jakąś milę… przejedź przez sad…

— Dobrze. Spokojnie. Zaraz wracam.

Curt gorączkowo wciągnął na siebie ubranie, zbiegł po schodach i wsiadł do samochodu. Zastanawiał się mimochodem, co się stało z truposzowatym Brownem, który zdawał się zniknąć z domu.

Koła zabuksowały w żwirze, gdy uruchomił samochód i wyjechał nim pośpiesznie z podjazdu. Potem znalazł się na drodze wiodącej przez sad. Bezksiężycowa noc była zupełnie ciemna, a strumień światła przed samochodem wydawał się jedyną żywą rzeczą w całym otaczającym go świecie. Prawie żałował, że nie wybrał bardziej sobie znanej drogi. Zgubienie się teraz, mogło oznaczać śmierć Della.

Po drodze nie napotkał żadnego samochodu, w obydwu kierunkach. Dookoła nie było również widać żadnych budynków, rozjaśniających światłami mrok nocy. Przytłaczająca pustka zdawała się okrywać otaczające go wiejskie tereny i z wolna przenikać do jego duszy. Wydawało się niemożliwe, żeby położone były one tak blisko dobrze mu znanej autostrady.

Wytężał wzrok w ciemnościach, szukając jakichś oznak całonocnej stacji benzynowej lub sklepu, z którego mógłby zadzwonić. W końcu z

rezygnacją przygotował się na pokonanie całej drogi do Towson. W tym momencie daleko przed sobą, dostrzegł iskrę światła.

Zachęcony Curt nadepnął na pedał gazu. W niecałe dziesięć minut był już na miejscu. Nacisnął hamulec, zatrzymał samochód, wysiadł i spojrzał na budynek. Wyglądał bardziej na podstację energetyczną niż cokolwiek innego. Ale przynajmniej powinien być tu telefon.

Zapukał do drzwi. Niemal natychmiast w środku rozległy się kroki.

Drzwi otworzyły się szeroko.

— Chciałbym zapytać, czy mógłbym użyć pańskiego… — rozpoczął Curt. Sapnął głośno. — Brown! Dell umiera… musimy sprowadzić mu lekarza...

Jakby nie będąc w stanie zrozumieć jego słów, wynajęty człowiek przez dłuższą chwilę wpatrywał się w niego tępo. W zalewającym go z tyłu świetle, jego twarz z zapadniętymi policzkami wyglądała niemal jak czaszka.

Wtedy z wnętrza budynku dobiegł głos, przepełniony napięciem.

— Brown! Co ty tam robisz, u diabła? Zamknij drzwi!

To ożywiło stojącego przed nim człowieka. Wyciągnął pistolet i skinął nim na Curta, aby wszedł do środka.

— Wejdź do domu. Gdy Carlson odkryje że tu jesteś, będziemy musieli zdecydować, co z tobą zrobić.

— Co się z tobą dzieje? — zapytał Curt oszołomiony. — Dell umiera. Potrzebuje pomocy.

— Wchodź do środka!

Curt ruszył powoli naprzód. Brown zaryglował za nimi zamek i wskazał gestem na zamknięte drzwi na drugim końcu krótkiego holu. Otworzyli je i weszli do kiepsko oświetlonego pokoju.

Wzrok Curta powoli przystosował się do panującego półmroku i zobaczył przed sobą coś, co wyglądało na laboratorium. Pomieszczenie było tak wyładowane sprzętem, że prawie brakowało w nim miejsca dla grupy dwunastu do piętnastu mężczyzn, którzy mocno stłoczyli się koło jakiegoś urządzenia, odwróceni plecami do Curta i Browna.

Brown ruszył przed siebie niczym ożywiony szkielet, przebijając się przez krąg. Wtedy Curt zauważył, że przedmiotem uwagi zgromadzonych ludzi był duży ekran kineskopowy, zajmowany przez pojedynczą zieloną linię. Na jednym z boków dwustopowego ekranu wyrastał z niej ostry „puls”. Puls przesuwał się niemal niezauważalnie w kierunku pionowego czerwonego znacznika na powierzchni kineskopu. Mężczyźni wpatrywali się w niego jak zahipnotyzowani.

Jednak pojawienie się przybyszy zakłóciło ich uwagę. Jeden mężczyzn odwrócił się z irytacją.

— Brown, na litość boską…

Był kościstym stworem, o jeszcze bardziej trupim wyglądzie, niż Brown. Dostrzegł nieprzyzwoicie niemal krzepką twarz Curta. Sapnął i zaklął.

— Kto to jest? Co on tutaj robi?

Cały zestaw czaszek zwrócił się ku Curtowi. Usłyszał ostre zbiorowe sapnięcie, jakby jego obecność była jakąś nieprzewidzianą katastrofą, która wstrząsnęła biegiem ich niezrozumiałego życia.

— To jest Curtis Johnson — wyjaśnił Brown. — Zgubił się, szukając lekarza dla Della.

Z fotela przed urządzeniem wstała mumiopodobna postać.

— Pańskie przybycie tutaj, jest niezwykle niefortunne, ale w tej chwili nie możemy nic na to poradzić. Proszę usiąść tutaj, koło mnie. Nazywam się Tarron Sark.

Mężczyzna wskazał gestem fotel.

— Mój przyjaciel, doktor Dell, umiera — warknął Curt, nie mając zamiaru siadać. — Muszę uzyskać pomoc. Zobaczyłem panów światło i miałem nadzieję, że pozwolicie mi skorzystać z telefonu. Nie wiem, kim pan jest, ani co ten najemny pomocnik Della, robi tutaj z panem. Ale musi pan mi pozwolić wezwać pomoc!

— Nie. — Mężczyzna, Sark, pokręcił głową. — Dell się z tym pogodził. Musi odejść. Czekamy dokładnie na to, co stara się pan powstrzymać – na jego śmierć.

Wiedziałem o tym, pomyślał Curt, od chwili, gdy wszedłem do tego pomieszczenia.

Tak jak sępy siedzące na skalnych ścianach, czekające na śmierć swej ofiary, ci fantastyczni ludzie zwrócili spojrzenia z powrotem na ekran. Zielona linia znajdowała się teraz w jednej trzeciej drogi do czerwonego znacznika i poruszała się zdecydowanie szybciej.

To był koszmar – bezsensowny…

— Nie zostanę — nalegał Curt. — Nie może pan mnie powstrzymywać od pomocy Dellowi, nie przejmując odpowiedzialności za jego śmierć. Żądam, aby pozwolił mi pan zadzwonić.

— Nigdzie pan nie zadzwoni — odparł ze znużeniem Sark. — Od dawna już przejęliśmy odpowiedzialność za śmierć Della. Proszę siadać!

Powoli Curt opadł na fotel obok nieznajomego. Nie mógł nic innego zrobić. Był bezsilny wobec pistoletu w ręku Browna. Ale w jakiś sposób doprowadzi ich przed oblicze sprawiedliwości, poprzysiągł sobie.

Nie rozumiał znaczenia powoli poruszającego się wzorca na ekranie, ale kiedy jego oczy podążały za tym pulsem, wyczuł w obserwujących ekran ludziach napięcie, które wydawało się złowrogie, niemal mordercze. Dlaczego?

Co oznacza ten nieubłaganie posuwający się puls?

Nikt nie odzywał się nawet słowem. W pomieszczeniu było duszno, a oddech kręgu ludzi brzmiał w uszach Kurta jak tępy grzechot.

Szybko, tak jakby nabierając nagłego pędu, puls na ekranie przyspieszył. Ludzie w kręgu zastygli w napięciu.

Puls przekroczył czerwoną linię – i zniknął.

Pozostał tylko gładki zielony ślad, nieruchomy i pozbawiony żadnego sensu.

Z niepewnym szuraniem stóp koło się rozsunęło. Zebrani ludzie patrzyli po sobie z wahaniem.

Jeden z nich stwierdził:

— No cóż, to koniec Della. Niebawem się dowiemy, czy jesteśmy na dobrej drodze, czy też spartaczyliśmy. Carlson zadzwoni, kiedy to obliczy.

— Koniec Della? — Curt powtórzył powoli, jakby próbował przekonać sam siebie, co się tutaj stało. — Ten puls na ekranie – czy on oznaczał że życie go opuściło?

— Tak — powiedział Sark. — On wiedział, że będzie musiał umrzeć. A są może nawet setki takich ludzi jak on. Ale Dell nie mógł panu tego powiedzieć…

— Co z nim zrobimy? — zapytał nagle Brown.

— Jeśli Dell nie żyje, to znaczy że go zamordowaliście! — krzyknął Curt.

Narastał w nim strach o siebie samego. Nie mogli go teraz uwolnić, chociaż jego opowieść nie miałaby dla nikogo żadnego sensu. Ale w jakiś sposób zabili Della albo myśleli, że tak się stało, i dlatego nie zawahają się zabić Curta. Pomyślał o Louise, samej w wielkim domu, ze zwłokami Hamana Della – jeśli, oczywiście, był on naprawdę martwy. Ale to był przecież nonsens...

— Dell pana do nas wysłał! — stwierdził Sark, jakby nagle w jego umyśle uniosła się jakaś wielka zasłona. — Nie miał czasu, by sam panu o wszystkim powiedzieć. Czy kazał, żeby pan pojechał drogą na tyłach farmy?

Curt skinął z goryczą głową.

— Powiedział mi, że to najszybszy sposób na dotarcie do lekarza.

— Naprawdę? A więc zdawał sobie sprawę, nawet lepiej niż my, z tego jak szybko się ześlizguje. Tak, to był najszybszy sposób.

— O czym pan mówi? — dopytywał się Curt.

— Czy Dell wspomniał cokolwiek o tym, czego od pana chciał?

— To były jakieś absurdalne rzeczy. Coś o pomocy w jakichś szalonych planach wycofania się ze świata nauki. Miał dokończyć swoją przemowę rano, ale myślę, że to i tak nie byłoby nic ważnego. Teraz rozumiem, że był chory i zachowywał się irracjonalnie.

— Za mocno chory, żeby wszystko wyjaśnić, ale nie zachowywał się irracjonalnie — powiedział Sark w zamyśleniu. — Zostawił to nam, aby panu wyjaśnić resztę, ponieważ to pan ma pójść w jego ślady.

— Pójść w ślady Della? W czym?

Sark nagle pstryknął przełącznikiem na znajdującym się po prawej stronie panelu. Ekran rozjaśnił się jakimś rozmytym obrazem. Wyostrzył

się, po lekkiej korekcie ustawienia potencjometru, a Curtowi wydawało się, że widzi jakąś dziwnie znajomą, zalaną księżycowym światłem, ruinę.

— To amerykańskie miasto — powiedział Sark, wymawiając teraz słowa coraz szybciej. — Dowolne z miast. Wszystkie wyglądają podobnie. Ruiny. Śmierć. To zginęło trzydzieści lat temu.

— Nie rozumiem — poskarżył się Curt, oszołomiony. — Trzydzieści lat…

— W innym punkcie Continuum Czasu — powiedział Sark. — Przyszłość. To wasza przyszłość, rozumie pan? Albo raczej nasza teraźniejszość. Ta, którą dla nas stworzyliście.

Curt cofnął się przed nagłym jadem w głosie Sarka.

— Przyszłość? — A więc, to współdzielili z Dellem – psychoza, systematyczne urojenia. Przedtem podejrzewał istnienie zagrożenia; teraz było ono nieuniknione i przerażające.

— Może jest pan jednym z tych ludzi, którzy z dumą traktują swoje osiągnięcia — ciągnął tonem szaleńca Sark, ignorując strach i zgrozę Curta, albo nie zadając sobie z nich sprawy. — To, że bomby wodorowe zmiotły miasta, a trujące aerozole zniszczyły resztki ludzkości, wydaje się panu nieistotne, wobec faktu, że rzeczy te reprezentują najwyższe osiągnięcia techniczne.

Gardło Curta zaschło zupełnie z przerażenia. Mimochodem przypomniał sobie rozpalone bólem oczy Della i słowa umierającego naukowca: „Odpowiedzialność za nadciągające zniszczenie cywilizacji spoczywa w rękach najemnych naukowców…”.

— Niektórym z nas udało się przeżyć — oznajmił Sark, wpatrując się w scenerię pełną kanciastych odłamków gruzu. Curt widział żyły tętniące pod cienką warstewką ciała na jego czole. — Przez dwadzieścia lat żyliśmy marzeniem o odbudowie świata, tym samym marzeniem, które panowało po wszystkich wojnach. Ale w końcu zrozumieliśmy, że tym razem marzenie to było naprawdę próżne. My, którzy przeżyliśmy, żyliśmy uwięzieni w hermetycznie zamkniętych jaskiniach, próbując przetrwać i odzyskać naszą utraconą wiedzę naukową i techniczną.

— Nie mogliśmy wyjść w ziemską atmosferę. Jej zanieczyszczenie wirulentnymi aerozolami miało utrzymywać się przez kolejne sto lat. Nie byliśmy w stanie podtrzymać nowej rasy z tych naszych głodnych i słabowitych ciał. Aby Ludzkość nie znikła całkowicie z powierzchni Ziemi, mieliśmy tylko jedną nadzieję – nadzieja ta polegała na tym, aby zapobiec zniszczeniu!

Oczy Sarka teraz już płonęły.

— Czy rozumie pan co to znaczy? Musieliśmy cofnąć się, a nie iść naprzód. Musieliśmy uzbroić się na nową wojnę, wojnę w celu zapobieżenia ostatecznej wojnie, która zniszczyła ludzkość

— Cofnąć się? W jakim sensie mogliście się cofnąć? — Curt zawahał się, zaczynając teraz pojmować pełne szaleństwo otaczającej go scenerii. — Jak się cofnęliście? — Czekał w napięciu na odpowiedź. Oczywiście to musiał być jakiś bełkot, taki sam jak cała ta szalona przemowa przedtem.

— **N**iezakłócony przepływ czasu od początku do końca – których nie możemy doświadczyć – nazywamy Podstawowym Kontinuum — odpowiedział Sark. — Matematycznie mówiąc, złożone jest ono z miliardów oddzielnych pasm prawdopodobieństwa przebiegających jedno obok drugiego. Przez analogię można by je porównać do ogromnej rzeki, w której wiele nieznaczących dopływów łączy się w jedną potężną, wirującą całość. To jest przepływ czasu, Podstawowe Kontinuum.

— Można zmienić jeden z tych dopływów, zatamować go, skierować go w bok, pozwolić mu na dotarcie do głównego strumienia w innym punkcie. Nieważne jak bardzo nieznaczący był ten dopływ, po tej zmianie, strumień już nie będzie taki sam jak przedtem. I to właśnie robimy. Sterujemy krytycznymi dopływami Podstawowego Kontinuum, zmieniając piekło, którym wy naukowcy, tak hojnie nas obdarzyliście.

— Dell był jednym z takich krytycznych dopływów. Pan, doktorze Johnson, jest kolejnym. Zmiana lub zniszczenie tego rodzaju kluczowych osób odcina pewne gałęzie wiedzy, zanim zaczną one wydawać swe owoce.

Była to nieuchronna odpowiedź, ale musiał podjąć dyskusję z wypływającą z niej konkluzją.

— Naukowcy nie wywołują wojen — wskazał Curt, patrząc od jednej bezcielesnej twarzy do drugiej. — Znajdźcie odpowiedzialnych za nie polityków, tych, którzy są skłonni rozpętać każdą możliwą zawieruchę, aby zdobyć władzę. To są ci, których szukacie.

— Oznaczałoby to konieczność zniszczenia połowy ludzkości. W waszych czasach dosłownie prawie każdy człowiek jest politykiem.

— Niech pan mówi z sensem! — powiedział ze złością Curt.

— Polityk, jak można by go zdefiniować, jest to po prostu człowiek gotów poświęcić wspólne dobro dla własnych celów. To wysoce zaraźliwa choroba w czasach, w których altruizm uważany jest za tchórzostwo albo zwykłą głupotę. Nie, nie pomyliliśmy naszego celu, doktorze Johnson. Nie jesteśmy w stanie przyspieszyć dojrzałości całej rasy. Możemy mieć tylko nadzieję, że uda nam się zabrać jej zapałki, aby dzieci nie mogły spalić domu. W cokolwiek pan wątpi, proszę nie wątpić, że pochodzimy z przyszłości, albo że to my spowodowaliśmy śmierć Della. On jest zresztą tylko jednym z wielu.

Curt upadł na duchu.

— Wątpiłem w to. Nadal tak jest, ale nie jestem już w pełni przekonany. Dlaczego?

— Ponieważ pańskie własne poczucie winy mówi panu, że pan, Dell i inni wam podobni, są dosłownie zapałkami, które musimy usunąć. Ponieważ pańska wiedza naukowa przezwyciężyła pańskie pragnienie, aby nie wierzyć. Ponieważ wie pan jak ukształtuje się przyszłość.

— Wojna po trzeciej wojnie światowej... — mruknął Curt. — Ktoś powiedział, że będzie się w niej walczyć kamieniami i włóczniami, ale wasza broń jest bardzo daleka od kamieni i włóczni.

— Może nie aż tak bardzo — stwierdził Sark, a jego twarz kwaśno się wykrzywiła. Sięgnął ręką do sąsiedniego stołu i wziął z niego pomidora i

marchew. — Oto nasza broń. Równie skromna i prymitywna jak kamienie i włócznie jaskiniowców.

— Żartuje pan — odparł Curt, niemalże gotów do uśmiechu.

— Nie. To jest ostateczne osiągnięcie wojny biologicznej. Człowiek jest tym, co je…

— Tak było napisane na szyldzie Della.

— Prowadzimy setki plantacji i farm, takich jak Della. Pracujemy nad związkami nawozowymi, które dostarczamy do tych gospodarstw. Związki te zawierają pewne substancje chemiczne, które ostatecznie osadzają się w komórkach mózgowych osób jedzących nasze produkty. Zajmują one stanowiska w komórkach mózgu i zmieniają człowieka – albo go niszczą.

— Określone komórki w mózgu są odpowiedzialne za określone charakterystyki. Opracowaliśmy sposoby modyfikacji tych komórek poprzez wprowadzenie do nich niewielkich ilości konkretnych materiałów radioaktywnych, które można włączyć do żywności roślinnej. Podczas trzeciej wojny światowej podobnymi metodami wytwarzano w całych populacjach masowe szaleństwo. Tutaj używamy ich do osiągnięcia bardziej humanitarnych celów.

— Po prostu ograniczamy możliwości wykorzystania naukowców odpowiedzialnych za opracowanie niszczącej broni, która stworzyła nasz koszmarny świat. Widział pan zmiany, jakie zaszły w Dellu. To dobry przykład tego, co robimy.

— Ale on się zmienił — zauważył Curt. — Brał udział w waszych pracach. Czy to nie wystarczyło? Dlaczego zadecydowaliście, że musi umrzeć?

— Zwykle nie chcemy zabijać, jeżeli zmiana została już przeprowadzona. Czasami jednak komórki mózgowe są oporne, a cechy osobowości są zbyt mocno zakorzenione. W wyniku naszej procedury, komórki rozwijają aktywność nowotworową. Tak było u Della. W jego przypadku, jednak musielibyśmy go zabić w inny sposób, nawet gdyby nie umarł tak jak to się stało. On także bardzo dobrze to rozumiał. Dlatego właśnie, tak naprawdę nie chciał aby pomógł mu jakiś lekarz.

— Najpierw musieliście doprowadzić go do szaleństwa!

— Proszę na to popatrzeć i zobaczymy czy nadal będzie pan tak myślał. — Sark poprowadził go do niewielkiego przyrządu i wskazał mu jego okular. — Proszę tam spojrzeć.

Curt nachylił się. Po dotknięciu przez Sarka przełącznika, wszystko zalało światło. Potem przed oczami Curta, widoczny w środku obraz zaczął się poruszać.

— Dell! — wykrzyknął.

Miał przed oczyma ogromne i dobrze wyposażone laboratorium biologiczne, bardzo podobne do tego w Camp Detrick. Milczący technicy o twarzach skrytych pod maskami, precyzyjnymi ruchami wykonywali swoje zadania. Doktor Dell kierował całą operacją.

Coś jednak było nie tak. Postać przed jego oczyma, nie był to Dell, jakiego Curt znał.

Sark jakby wyczuł, że Curt to rozumie i obraz zaczął się powiększać, aż cały pole widzenia wypełniła twarz Della. Curt sapnął. Twarz jego przyjaciela była pusta i ohydna. Oczy spoglądały bezmyślnie. Kiedy obraz z powrotem uległ pomniejszeniu, Curt zauważył, że Dell porusza się jak automat, niemalże bez własnej woli.

Kiedy Dell odsunął się od stołu, jak lunatyk, w polu widzenia pojawiła się na chwilę postać uzbrojonego strażnika przy drzwiach. Postać kaprala, ponuro wyglądającego, w swym polowym mundurze.

Curt uniósł głowę, oszołomiony, jakby jakiś wewnętrzny zmysł odkrył znaczenie tej sceny, której nie potrafił jeszcze wyrazić słowami.

— Wystarczy panu? — zapytał Sark.

— Co to wszystko znaczy?

— To jest Dell, taki jakim byłby w przyszłości. Chciał umrzeć, aby tego właśnie uniknąć.

— Ale co to w ogóle było?

— Wojskowe laboratorium badawcze, dwanaście lat w pańskiej przyszłości. Zdaje pan przecież sobie sprawę, że w pańskim czasie znaczna część badań utknęła w miejscu, ponieważ wielu pierwszorzędnych naukowców zbuntowało się przeciwko dominacji wojskowych. Niestety łatwo można było znaleźć szereg ich naśladowców, którzy mają wystarczającą wiedzę do realizacji większości zadań – młodych ludzi ze świeżymi dyplomami doktorskimi, olśnionych blichtrem złotych laboratoriów. Ale, czy to przez brak doświadczenia czy to wyobraźni, nie potrafią oni przejrzeć przez ten blichtr, ani uzyskać głębszego obrazu swej tak wspaniałej pracy. Niektórzy z nich, w końcu, zaczynają to dostrzegać, jednak za późno, i szybko są zastępowani przez nowych ochoczych młodzików.

— Ta scena z Dellem…

— Będzie miała miejsce zaledwie za dwanaście lat, od tego co nazywacie swoim „teraz”. Potrzebna będzie nowa, jeszcze bardziej śmiercionośna broń, a więc zostanie wydana ustawa, aby mobilizować niechętnych pierwszorzędnych ludzi – wbrew ich woli, jeśli to konieczne.

— Nie da się nikogo zmusić do pracy twórczej — sprzeciwił się Curt.

Sark wzruszył ramionami.

— Istnieją narkotyki, które robią cudowne i straszne rzeczy z umysłami ludzi. Mogą one zmusić je do tworzenia albo bezmyślnego niszczenia, wyznań albo ohydnych podstępów. Widział pan jak wasi przeciwnicy czasami je już wykorzystywali. Tu na przykład uderzyli w jakiegoś kardynała, tam w jednego z inżynierów. A teraz widział pan swojego przyjaciela, Della, takiego jakim by się stał. Nie są to oczywiście te same narkotyki, ale skutek ich zastosowania jest taki sam.

Zgroza Curta zmieniła się w uparte niedowierzanie.

— Ameryka nigdy by nie użyła takich metod — oznajmił stanowczo.

— Dzisiaj? Nie — zgodził się Sark. — Ale kiedy kraj pogrążony jest w nieludzkiej wojnie – nawet jeśli jej cele są absolutnie honorowe – czy istnieje linia, której nie można przekroczyć? Każda brutalizacja przygotowuje drogę do następnej. Nawet obozy koncentracyjne i ośrodki zagłady stają się logicznymi koniecznościami. Słyszał pan, że wasi przeciwnicy twierdzą, iż cel uświęca środki. Sam pan widział – środki w końcu stają się celami.

— Ale Dell mógł przecież uciec — zaprotestował Curt. — Mogliście mu pomóc w swoim czasie lub jakimś innym. Ciągle był cenny. Nie musiał umierać!

— Nie istnieje coś takiego jak rzeczywista podróż w czasie — wyjaśnił Sark. — A przynajmniej do naszych czasów nie znaleźliśmy żadnego na nią sposobu. Możliwe jest jedynie odchylanie gałęzi Podstawowego Kontinuum, tak żebyśmy mogli być świadkami, ostrzegać, instruować, zyskiwać pomoc w ratowaniu przyszłości. I możliwe jest to jedynie w tym wąskim sektorze nierzeczywistości, w którym gałąź dołącza się do głównego nurtu.

— Nasze farmy przylegają do takich sektorów, ale dalej nie możemy już pójść, ani też nikt z was nie może stać się obywatelem świata, który dla nas stworzyliście.

— Jakże żałuję, że to jest niemożliwe! — wyrzucił z siebie jadowicie Sark. — Porywalibyśmy was całymi milionami, zmuszalibyśmy was do spoglądania na ruinę i grozę, kazalibyśmy wam oddychać powietrzem, którego żaden człowiek nie może nabrać w płuca i przeżyć, jedynym powietrzem jakie jest dostępne w tamtym świecie. Tak, żałuję że nie możecie stać się naszymi gośćmi. Nasz problem byłby wtedy znacznie prostszy. Ale to jest niemożliwe. To jedyny sposób, w jaki możemy pracować.

— Dell musiał umrzeć. Nie było dla niego drogi ucieczki, a dopóki żył, my nie bylibyśmy bezpieczni. Zostałby wytropiony, schwytany jak zwierzę i wbrew swej woli zmuszony do pracy. Tak było w Podstawowym Kontinuum. Nic nie mogłoby tego zmienić poza jego śmiercią, śmiercią która uratuje życie miliardom istnień ludzkich, ponieważ nie stworzy toksyny bardziej śmiertelnej niż D. triconus.

Żądza zemsty w głosie Sarka, była niemalże dotykalna. Mimowolnie, Curt cofnął się przed nim o krok. I – niemalże – pomyślał, że prawie rozumie tych ludzi z innego czasu.

— Czy coś…? — zaczął ochryple i musiał przerwać. — Czy jest coś, co mogę zrobić?

— Potrzebujemy pana, żeby przejął pan farmę Della. Ma to kluczową wagę. Lista ludzi, których leczył, miała absolutnie witalne znaczenie. Ta praca nie może zostać teraz przerwana.

— Jak możecie cokolwiek osiągnąć, działając jedynie tutaj? — sprzeciwił się Curt. — Kiedy wy paraliżujecie naszą obronę, nasi wrogowie

zbroją się po zęby. Kiedy uczynicie nas wystarczająco bezbronnymi, oni uderzą.

— Czy ja mówiłem, że jesteśmy aż tak ograniczeni? — odpowiedział Sark, po raz pierwszy się uśmiechając. — Nie może pan nawet sobie wyobrazić, co świeże warzywa oznaczają na profesorskim stole w Moskwie. W Atomgradzie, dojrzały pomidor warty jest funta uranu. Skąd to wiem? Ponieważ chodziłem po ulicach Atomgradu, z moim dziadkiem

— A więc, pan jest…

Twarz Sarka w półmroku pokoju zrobiła się twarda i pełna goryczy.

— Byłem — poprawił. — Albo może mógłbym być. Tam gdzie nie ma narodów, nie ma miejsca na nacjonalizm; nie ma partii politycznych, tam gdzie istnieje tylko głód i śmierć. Zbrodnia przyszłości nie została popełniona przez żadnego pojedynczego człowieka, ani państwo. To zbrodnia całej ludzkości.

Raptownie rozległ się dzwonek telefonu.

— Carlson! — ktoś krzyknął z napięciem.

Sark odwrócił się do panelu i dotknął kontrolek. Rozjaśnił się niewielki ekran, wyświetlając obraz mężczyzny o siwiejących włosach i władczej twarzy. Jego ostre oczy zdawały się mierzyć płonącym spojrzeniem bezpośrednio w oczy Curta.

— I jak poszło? — zawołał Sark. — Czy przesunięcie Podstawowego Continuum jest zgodne z oczekiwaniami?

— Nie! Nadal nie zgadza się z obliczeniami. Nic nie jest w porządku. Wojna nadal trwa. Kontinuum jest absolutnym piekłem.

— Powinienem był się domyślić — odparł Sark z przerażeniem. — Powinienem był się z tobą skontaktować.

— Czemu tak się dzieje? Czy wiesz, co się stało?

— Johnson. Doktor Curtis Johnson. Jest tutaj.

Na twarzy Carlsona rozlała się furia. Z ust wyrwało mu się przekleństwo.

— Nic dziwnego, że sytuacja nie zgadza się z obliczeniami, jeśli on jest poza Podstawowym Continuum. Dlaczego on tam przyszedł?

— Dell go przysłał. Dell umarł zbyt wcześnie. Nie miał czasu, aby pouczyć Johnsona. Powiedziałem mu, czego od niego oczekujemy.

— Czy zrozumiał pan? — Carlson zaczął dopytywać się Curta, z gwałtownością niemalże zbliżoną do gniewu.

Curt rozejrzał się powoli po pomieszczeniu i popatrzył ponownie na twarz pytającego. Czy zrozumiał? Jeśli oni odeślą go z powrotem, pozwolą mu wrócić, czy będzie mógł być kiedykolwiek pewien, że nie stanie się świadkiem tego koszmaru ze świata cieni i snów?

Tak, mógł być tego pewien. Widział zniszczone miasto, dokładnie takie, jakim wiedział, że może się stać – chyba, że ktoś temu zapobiegnie. Widział wzorzec pulsu na ekranie, dostrojony do maleńkiego dopływu Podstawowego Kontinuum – było to życie doktora Della. Widział jak puls gaśnie, umierając w miarę jak umierał Dell.

Był również w stanie uwierzyć, że koło Atomgradu także znajdowała się niewielka farma, na której pomidor na stole naukowca był potężniejszy niż bomby w budynku arsenału.

— Zrozumiałem — powiedział. — Czy mam już wracać?

Sark włożył mu w ręce kartkę papieru.

— Oto lista nowych nazwisk. Procedury i zapisy Della znajdzie pan w jego biurku na farmie. Proszę nie lekceważyć znaczenia swojej pracy. Widział pan, że Podstawowe Continuum nie daje się właściwie obliczyć, kiedy pan znajduje się poza nim. Pan to poprawi.

— Od teraz jedynym kontaktem będzie Brown, który raz do roku przywiezie cysternę. Wie pan, co robić. Odpowiada pan sam za siebie.

Kiedy wyszedł, całe otoczenie wyglądało jak na surrealistycznym obrazie. Na niebie wzszedł księżyc i w otaczającej go pustce nie było widać niczego poza szarą cementową rurą budynku. Światło wylewające się przez otwarte drzwi oświetlało kilku wychudzonych ludzi, którzy wyszli za nim do samochodu. Przed nim rozciągała się tylko wąska wstęga drogi, prowadząca przez jakąś nieskończoną nicość, kończącą się na plantacji warzyw Della.

Ruszył. Kiedy w chwilę później obejrzał się, budynku już nie było.

Zerknął na listę nazwisk, które wręczył mu Sark, zmrożony dużym znaczeniem tych ludzi. Dla niektórych z nich oznaczać to będzie śmierć, tak jak w przypadku Della. Dla niego samego…

Zapomniał zapytać. Chociaż pewnie nie powiedzieliby mu tego. W każdym razie nie w tej chwili. Zmodyfikowana chemicznie żywność wytwarzała w opornych, nie reagujących komórkach, nowotwory. Jadł już warzywa Della, zje ich jeszcze więcej.

Było już za późno, aby zapytać, i nie miało to znaczenia. Miał ważne rzeczy do zrobienia. Pierwszą z nich będzie napisanie rezygnacji dla urzędników z Camp Detrick.

Od jutra stanie się doktorem Curtisem Johnsonem, plantatorem warzyw, specjalistą z czasów ery atomowej w dziedzinie wytwarzania luksusowych, soczystych darów stołu dla niewinnych i nie tak bardzo niewinnych ludzkich zapałek wiedzy; które to dary, jeśli jemu i jego nieznanym towarzyszom uda się odnieść sukces, mogą pozwolić na uniknięcie spopielenia nadziei ludzkości.

Louise pomoże mu powiesić nowy szyld:

JESTEŚ TYM CO JESZ
Jedz tylko to, co najlepsze
JEDZ WARZYWA JOHNSONA

Tylko oczywiście nie będzie wiedziała, dlaczego podjął pracę Della, a on jej nigdy tego nie wyjaśni.

Prawdopodobnie będzie to w końcu oznaczało śmierć Curta Johnsona, ale była dosyć niewielka cena, jeśli ludzkość przetrwa.

KONIEC